

MAREK DANIEL KOWALSKI

<https://orcid.org/0000-0001-8150-6561>

Instytut Historii, Uniwersytet Jagielloński

Odpowiadając na ankietę redakcji „Kwartalnika Historycznego”, będę patrzył przede wszystkim przez pryzmat bliskiej mi mediewistyki, czasem tylko odnosząc się do ogólniejszych zjawisk, w moim przekonaniu istotnych dla dalszego rozwoju naukowej historiografii.

Ad 1. Przy pytaniu o najważniejsze osiągnięcia badawcze historiografii w ostatnim trzydziestoleciu należy zwrócić uwagę na fakt, że przed 1989 r. mediewistyka nie była pod tak silną presją ideologiczną, jak historia najnowsza, a zatem zmiana ustrojowa nie była aż tak przełomowa dla studiów nad średniowieczem. Często więc badania, które przyniosły sukcesy w ostatnim trzydziestoleciu, zapoczątkowane zostały przed 1989 r. Oczywiście, po upadku PRL pojawiła się możliwość wyjazdów do zagranicznych archiwów i bibliotek, a tym samym prowadzenia badań wcześniej niewykonalnych. Możliwe też stało się podjęcie efektywnych studiów w obszarach, które nie cieszyły się wcześniej wsparciem władz.

Jednym z najważniejszych osiągnięć mediewistyki polskiej ostatnich lat było przełamanie anonimowości późnośredniowiecznego społeczeństwa (XIV–XV w.). Dzięki badaniom genealogicznym, a później genealogiczno-osadniczym, udało się zobaczyć działanie konkretnych jednostek w połączeniu z rozpoznaniem ich kręgów krewniaczych, przebiegu ich karier itd. Badania te zapoczątkował na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych Janusz Bieniak, podjęła je szkoła toruńska (ważne prace Jana Wroniszewskiego), a ich swego rodzaju ukoronowaniem stała się książka Janusza Kurtyki (1997) poświęcona rodzinie Tęczyńskich. Warto podkreślić, że znaczący postęp w tej dziedzinie stał się możliwy dzięki wykorzystaniu nowych źródeł o charakterze niemal masowym, jakimi są sądowe księgi grodzkie i ziemskie. Wydaje się jednak, że możliwości tego typu badań zostały w znacznym stopniu wyczerpane. Obecnie pojawia się wiele mało oryginalnych, schematycznych prac, często pisanych „na stopień”. Analogiczne badania nad duchowieństwem średniowiecznym, a zwłaszcza jego elitami (episkopat, kapituły, oficjałat), również zostały podjęte na szeroką skalę po 1989 r. Osiągnięcia w tej dziedzinie

widać tym wyraźniej, że w okresie PRL państwo nie wspierało prac nad tą tematyką. Postęp jest jednak mniejszy niż w przypadku elit świeckich. Przyczyną jest brak opublikowanych źródeł lub publikacje wadliwe, niekiedy wręcz szkodliwe naukowo (np. *Bullarium Poloniae*), a także bardzo niski poziom znajomości prawa kanonicznego, zasad funkcjonowania administracji kościelnej itd., co prowadzi do niezrozumienia źródeł.

Warto tu jeszcze wspomnieć o innym ważnym osiągnięciu polskiej nauki, choć być może nie należącym do historiografii w rozumieniu tej ankiety, jakim jest stworzenie ważnych pomocy warsztatowych, bez których postęp badań byłby dużo wolniejszy i trudniejszy. Mam tu na myśli m.in. wydanie serii spisów urzędników: *Urzednicy dawnej Rzeczypospolitej XII-XVIII wieku. Spisy* (powstają też kolejne tomy dla urzędników litewskich), a także *Atlasu historycznego Polski* (komplet map dla połowy XVI w.), dostępnego obecnie również w zintegrowanej wersji cyfrowej. Ostatnim ważnym dziełem, wciąż w realizacji, jest *Słownik historyczno-geograficzny ziem polskich w średniowieczu*. Pracę nad nim rozpoczęto znacznie wcześniej, ale w latach dziewięćdziesiątych przekształceniu uległa jego koncepcja i *Słownik* stał się kopalnią materiału na temat społeczeństwa średniowiecznej Polski.

Ad 2. Mówiąc o najważniejszych wątkach badawczych, które powinny być przedmiotem szczególnej uwagi zawodowej (akademickiej) historiografii, zanim przejdę do bliskiej mi mediewistyki chciałbym zwrócić uwagę na kilka kwestii natury ogólnej. Nie wiem, czy ściśle odpowiada to oczekiwaniom redakcji „Kwartalnika Historycznego”, ale sprawy te wydają mi się szczególnie istotne w obecnych czasach.

Podstawową kwestią wydaje się walka o utrzymanie naukowego charakteru dyscypliny, jaką jest historia (zapewne na moje postrzeżenie tego problemu ma wpływ posiadane przeze mnie wyższe wykształcenie techniczne). W moim przekonaniu, w obecnym czasie naukowość historii jest zagrożona przez nacisk ideologiczny – na uniwersytetach pojawiły się liczne (a za granicą bardzo liczne) katedry *gender studies* (i pochodne), czyli dyscypliny o pseudonaukowym charakterze, które bardzo mocno uderzają w humanistykę. Równocześnie na Zachodzie na dużą skalę likwiduje się specjalistyczne katedry, w których uczy się warsztatu historyka (zob. artykuł Wernera Paraviciniego, „Roczniki Historyczne” 84, 2018). Coraz mocniej dochodzi w Polsce do głosu klimat intelektualny postmodernizmu, m.in. z jego zanegowaniem obiektywnej prawdy, a ponadto niechęć do własnej kultury i tradycji (przy równoczesnej ich nieznajomości). Za pisanie historii często biorą się dziś przedstawiciele tzw. nauk społecznych, jak politolodzy, socjologowie i inni. Nieskrępowani wymogami warsztatu historycznego, podążają za

pseudonaukowymi modami, cofając niekiedy historię do okresu przednaukowego, zamieniając ją w publicystykę. Przykładem tego typu wytworów może być niezwykle popularna książka Jana Sowy *Fantomowe ciało króla*, której największym tytułem do popularności wydaje się utrafienie w stereotypy i oczekiwania dominujące w kręgach opiniotwórczych elit, o bardzo powierzchownej znajomości historii. Innym przykładem jest twórczość grupy badaczy (w większości nieprzygotowanych zawodowo do uprawiania historii) tworzących tzw. Nową polską szkołę badań nad historią Holokaustu. Abstrahując od wykazanej w recenzjach tendencyjności czy świadomej manipulacji źródłami, owi historycy amatorzy posługują się źródłami w sposób naiwny, bezkrytyczny, słowem — nieprofesjonalny. Celem powyższych uwag nie jest oczywiście odmawianie komukolwiek prawa do zajmowania się historią. Chodzi tylko o to, by czyniono to w zgodzie z regułami sztuki.

Zanik podstawowych umiejętności warsztatowych (znajomość łaciny, paleografii, dyplomatyki i in.) został już oczywiście dostrzeżony (por. przywoływany artykuł Paraviciniego, odnoszący się głównie do sytuacji w Niemczech), ale wołanie o zmiany nie przynosi na razie skutku. Cytowani przez Paraviciniego historycy niemieccy uznają wręcz, że zachęcanie młodych adeptów do angażowania się w badania podstawowe, jak np. wielkie projekty edytorskie czy wyspecjalizowanie się w tradycyjnych naukach pomocniczych, jest „nieodpowiedzialnym nakłanianiem ich do zawodowego samobójstwa”. W Polsce regres umiejętności warsztatowych na szczęście nie nastąpił, a jeśli występuje, to raczej z powodu ogólnego obniżenia poziomu kształcenia, ale niebezpieczeństwo staje się coraz bardziej realne. Wydaje się więc, że utrzymanie wysokiego poziomu warsztatu naukowego, zapewnienie rozwoju nauk pomocniczych historii, czyli — inaczej mówiąc — utrzymanie naukowego charakteru historii powinno być stałym przedmiotem troski badaczy. Nie oznacza to, że nie należy podejmować tematów „modnych” — jest to kwestia indywidualnego wyboru. Badania te powinny jednak być prowadzone rzetelnie, zgodnie z regułami sztuki. Duża rola w tej materii należy niewątpliwie do państwa, do jego polityki naukowej, ale jest tu również miejsce dla historyków, choćby poprzez recenzje, zarówno te publikowane w czasopiśmie, jak i wewnętrzne, w postępowaniach o nadanie stopni naukowych.

Jeśli chodzi o najważniejsze wątki badawcze, to chciałbym skupić się na bliskiej mi mediewistyce. W moim przekonaniu, na pierwszym miejscu należy wskazać konieczność publikacji źródeł historycznych. Edycje źródłowe mają dla historyków charakter badań podstawowych i są fundamentem postępu badań, niezależnie od stosowanej metody.

Korzystanie z oryginalnego materiału rękopiśmiennego jest czasochłonne i niełatwe, a część mediewistów nie posiada dziś wystarczających kwalifikacji do czytania rękopisów. Problem jest szczególnie palący dla okresu późnego średniowiecza (XV w.). „Magiczną” barierą chronologiczną, na której urywa się większość kodeksów dyplomatycznych, jest rok 1450, a nie zostały jeszcze wydane dokumenty z XIV–XV w. z terenu Kujaw, Mazowsza, ziem łęczyckiej i sieradzkiej. Nie mają dotąd wydań krytycznych podługoszowe zabytki historiografii, takie jak szesnastowieczne kroniki Macieja Miechowity, Bernarda Wapowskiego, Marcina Bielskiego (prace nad niektórymi obecnie trwają), ale nie ma nawet dobrego wydania kroniki Jana z Czarnkowa! Wielką lukę stanowi brak dobrej edycji źródeł proweniencji papieskiej (ok. 20 tys. dokumentów do końca XV w.). Profesjonalne edycje źródłowe są pilną potrzebą badawczą. Publikacja nowego materiału może łatwo doprowadzić do zdezaktualizowania wielu opracowań, powstających w oparciu o zbyt skromny, znany obecnie zasób źródeł. Wydaje się też, że przy słabnącej znajomości łaciny wskazane byłoby publikowanie trudniejszych tekstów wraz z polskim przekładem. Niestety, obecnie edytorstwo źródeł postrzegane jest przez decydentów, ale także przez wielu historyków, którzy nie pracowali na materiale rękopiśmiennym, jako działalność odtwórcza (proste przepisanie tekstu). Znajduje to odbicie w urzędowej „punktacji”, gdzie wymagające wieloletniego wysiłku edycje oceniane są niżej niż artykuły. Oprócz pracochłonności, jest to ważny czynnik zniechęcający do edytorstwa.

Nowe możliwości stwarzają obecnie cyfrowe metody publikacji. Nie chodzi przy tym o proste udostępnienie w internecie tekstów drukowanych, ale o w pełni naukową edycję cyfrową. Bardzo atrakcyjną cechą takich edycji jest możliwość sukcesywnego udostępniania opracowanych materiałów na bieżąco, w miarę postępu prac, bez wieloletniego oczekiwania na całkowite ukończenie przedsięwzięcia. Szybka publikacja wyników jest również czynnikiem, który powinien zadowalać gremia przyznające fundusze na badania. Warto zwrócić w tym miejscu uwagę na jedno z zaniedbań ze strony państwa w dziedzinie cyfryzacji zbiorów archiwalnych. Archiwa w Polsce są bardzo rozproszone, a niezwykle cenne dla mediewistów archiwa kościelne mają status zbiorów prywatnych i niekiedy dostęp do nich jest poważnie utrudniony. Najwyraźniej nikt spośród ministerialnych decydentów nie pomyślał o tym, by np. finansowanie restauracji zabytkowych obiektów (a to z nimi związane są najcenniejsze archiwa) połączyć z warunkiem udostępnienia archiwów dla badaczy. Innym zaniedbaniem jest digitalizacja archiwaliów za publiczne pieniądze, bez późniejszego dostępu online do zdigitalizowanych materiałów.

Obszarem mediewistyki, który wymaga badań, jest wciąż stosunkowo słabo rozpoznany okres jagielloński, a zwłaszcza druga połowa rządów Kazimierza Jagiellończyka (po 1466 r.) oraz panowanie Jana Olbrachta i Aleksandra. Mimo dużej liczby opracowań istnieją spore luki w wiedzy na temat tego okresu historycznego. Powodem takiego stanu rzeczy jest w jakiejś mierze brak zainteresowania schyłkiem średniowiecza u mediewistów, gdy równocześnie nowożytnicy interesują się dopiero okresem zygmunto-wskim. Po wojnie trzynastoletniej zmienia się bowiem geopolityka Polski, kończą się problemy ważne w średniowieczu, a uwaga Królestwa zwraca się na wschód. Epoka jagiellońska może być szczególnie atrakcyjna obecnie, choćby ze względu na aspekt polityczny, gdyż unia polsko-litewska jest przykładem zrastających się stopniowo dwóch zupełnie różnych organizmów państwowych i odmiennych społeczeństw. Temat ten wydaje się też atrakcyjny z punktu widzenia polityki historycznej, nakierowanej na kraje europejskie.

Drugim obszarem badawczym, który w moim przekonaniu powinien być przedmiotem szczególnej uwagi, a równocześnie ciągle stwarzającym spore możliwości badawcze, wydaje się szeroko rozumiana cywilizacja chrześcijańska (nie ograniczona do samej historii Kościoła). Dotyczy to nie tylko mediewistyki, ale również innych epok. Wbrew pozorom, istnieje poważne ryzyko trwałego regresu w tej materii. W sytuacji, gdy badania tego rodzaju są niechętnie widziane (zwłaszcza w Europie), a zatem i niechętnie finansowane, łatwo może dojść na tym polu do głębokiego obniżenia poziomu warsztatowego. Rzeczywistość chrześcijańska, w Polsce ciągle jeszcze traktowana jako oczywistość, w wielu krajach stała się już odległą niczym starożytność. Zanika wtedy nawet podstawowa wiedza na temat chrześcijaństwa. Znakomitym symptomem tego rodzaju regresu jest zamieszczanie od lat osiemdziesiątych (!) w kolejnych tomach brytyjskiej serii *Calendar of Papal Registers Relating to Great Britain and Ireland*, adresowanej wszak do profesjonalnych historyków, słowniczka wyjaśniającego znaczenia takich słów, jak: parafia, pleban, spowiedź itd. W Polsce taka sytuacja wydaje się na razie niemożliwa, ale może to być kwestia jednej generacji badaczy. Już dziś w naszym kraju nie ma ani jednego specjalisty od średniowiecznego i nowożytnego prawa kanonicznego, choć jeszcze nie tak dawno na Uniwersytecie Jagiellońskim zajmował katedrę prof. Adam Vetulani.

Nie sposób nie wspomnieć tutaj o jeszcze jednej kwestii, jaką jest organizacja badań naukowych, choć jest to domena działań Ministerstwa Nauki. Podejmowanie wieloletnich zespołowych programów badawczych, jak np. seryjne edycje źródłowe czy przygotowanie syntez, wymaga stabilnego finansowania. Przedsięwzięć tego typu nie da

się realizować systemem grantowym. Powołany do wsparcia długofalowych projektów Narodowy Program Rozwoju Humanistyki przekształcił się w znacznym stopniu w typowy system grantowy dla humanistów. Mający realizować długofalowe badania Instytut Historii PAN również uległ z czasem ewolucji i częściowo (oprócz niektórych pracowni) stał się *sui generis* uniwersytetem. W konsekwencji brak w Polsce oparcia dla dużych projektów na wzór *Monumenta Germaniae Historica*. Doskonale widać to na przykładzie polskiej serii *Monumenta Poloniae Historica*, w której ukazują się dość przypadkowe tomy, będące efektem inicjatyw pojedynczych badaczy. Hamulcem dla badań naukowych jest też brak polskich instytutów naukowych za granicą, na kształt Niemieckich Instytutów Historycznych. Istniejące polskie placówki w Rzymie, Wiedniu i w innych miejscach nie są instytutami naukowymi, stanowiącymi oparcie dla badań zagranicznych. Wydaje się, że utrzymanie niewielkich instytutów w krajach, w których znajdują się najważniejsze dla polskiej historii zbiory archiwalne (w Kijowie, Rzymie, Paryżu i innych), nie powinno stanowić problemu dla dużego europejskiego państwa.

Ad 3. Odpowiedź na pytanie, czy rozmaite „historiografie” mogą pozostać jedną, wspólną historiografią polską, nie jest łatwa. Przyznam zresztą, że samo pytanie nie jest dla mnie do końca jasne. W końcu rzetelnie prowadzone badania naukowe, będące uczciwym dociekaniem prawdy, można uznać za spojrzenia na historię Polski pod różnymi kątami. Niezbędnym warunkiem jest tylko solidność i naukowy charakter prowadzonych badań. Stosowane metody badawcze wydają się mieć drugorzędny charakter. Z pewnością nie uda się natomiast utrzymać jedności takiej „wspólnej historiografii”, jeśli nowe metody nie będą opierały się na wspólnym fundamencie. Analogiczna sytuacja jest w naukach ścisłych, w których, stosując się do rygorów naukowych, nie można otrzymać sprzecznych wyników przy zastosowaniu różnych metod.

Syntezy należą z pewnością do najtrudniejszych przedsięwzięć podejmowanych przez historyków. Nie ulega wątpliwości, że są niezbędne, by podsumować badania na pewnym etapie, by uchronić przed popadnięciem w „mikrografię”, w nadmierną fragmentację naszej wiedzy. Osobiście jednak obawiam się zbyt szeroko zakrojonych syntez, gdyż istnieje tu duże niebezpieczeństwo błędnych uproszczeń. Przy dzisiejszej specjalizacji autor szerokiej syntezy musi wkroczyć na obszar sobie nieznany. Syntezy przygotowane przez kilku współautorów, podobnie jak prace interdyscyplinarne, zbyt łatwo mogą stać się złożeniem kilku niezależnych fragmentów, nie tworzących integralnej jedności. Łatwiejsze do wykonania wydają się syntezы „częściowe”, obejmujące wybrany fragment wiedzy, jak np. synteza historii wojskowości, dziejów społeczeństwa,

kultury itp. Przykładem może być, już nieco leciwa, wieloautorska *Kultura Polski średniowiecznej* pod red. Jerzego Dowiata i Bronisława Geremka. Nie zmienia to faktu, że to właśnie syntezy mają szansę przebicia się do społecznej świadomości, stając się pasem transmisyjnym najnowszych osiągnięć naukowych do szerokiej publiczności.

Ad 4. Marc Bloch w swojej *Pochwale historii* trafnie zauważył, że: „[zachodnia cywilizacja] zawsze bowiem, w odróżnieniu od kultur innego typu, przywiązywała wielką wagę do swej pamięci”. Społeczna funkcja historiografii jest więc pochodną znaczenia historii dla społeczeństwa. Jest rzeczą powszechnie wiadomą (być może najładniej opisał to u nas Benedykt Zientara w *Świcie narodów europejskich*), że to wspólna świadomość historyczna konstituuje naród. Historia jest też fundamentem tożsamości – wydaje się zresztą, że niektóre „postępowe” ruchy polityczne, usiłując pozbawić społeczeństwo tego zakotwiczenia, niszczą tym samym jego tożsamość, zarówno narodową (zrównywaną z nacjonalizmem), jak i szerszą, europejską (w tradycyjnym rozumieniu). Cytowany Marc Bloch stwierdził też, iż „nie jest wykluczone, że i nasza cywilizacja odwróci się kiedyś od historii”, ale „stałoby się to kosztem zupełnego zerwania z naszymi najtrwalszymi tradycjami intelektualnymi”. Patrząc np. na niedawne wydarzenia z USA („wojna z pomnikami”, szukanie w całej historii wyimaginowanego rasizmu), można się zastanawiać, czy nie spełnia się proroctwo francuskiego historyka. Jestem przekonany, że oderwanie się zawodowej historii od społeczeństwa, zamiana nauki historycznej w prywatną „zabawę” historyków uniwersyteckich doprowadzi w dalszej konsekwencji do upadku historii jako dyscypliny naukowej i jej zamiany w uprawianą prywatnie antykwarystkę. Rolę historiografii przejmie wtedy politologia. Początkiem tego procesu może stać się ograniczanie nauki historii w szkołach. Wizja taka może wydawać się zbyt pesymistyczna, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że niektóre kraje europejskie zmierzają już tą drogą. Negatywne skutki marginalizacji nauczania historii Polski w szkołach (w połączeniu ze skutkami dokonujących się innych procesów społecznych) są już widoczne w najmłodszej generacji, choć oczywiście jest to problem, który może zostać rozwiązany przez władze państwowe, co najwyżej pod naciskiem historyków.

Tym, co w większym stopniu dotyczy historyków uniwersyteckich, jest publiczny odbiór historii i związana z tym polityka historyczna państwa. Efekty 30 lat zaniedbań w tej materii oraz promowania „pedagogiki wstydu” są widoczne aż nadto. Doskonale widzę to, porównując obecną sytuację z czasami swej szkolnej młodości (schyłek lat siedemdziesiątych i lata osiemdziesiąte). Dominującym wtedy uczuciem była duma z własnej historii, której chyba najważniejszym elementem było

przekonanie o szczególnym umiłowaniu wolności przez Polaków. Świadectwem tej niezłomności były powstania narodowe (co nie oznaczało rezygnacji z dyskusji nad ich sensem), walki o niepodległość czy państwo podziemne podczas II wojny światowej. Mocne było przekonanie, że to m.in. dzięki swej historii Polska była „najweselszym barakiem obozu socjalistycznego”. Taki był też chyba odbiór poza Polską, co poświadcza Aleksander Sołżenicyn w *Archipelagu GUŁAG*, gdy wspomina polskiego więźnia, inż. Jerzego Węgierskiego, który jako jedyny miał odwagę nie odstąpić od strajku głodowego w syberyjskim łagrze. Sołżenicyn skomentował to słowami: „I tu zrozumiałem, co to jest polska duma i na czym polega sekret polskich powstań”. Dziś, pomimo tak niedawnego zrywu Solidarności i jego znaczenia dla Europy, Polacy są chyba na zewnątrz postrzegani bardziej jako współsprawcy Holokaustu, niż ci, którzy obalili komunizm. Niestety, również w Polsce widać podobną zmianę w odniesieniu do własnej historii.

Jestem przekonany, że „imperatyw służby” nie uległ dezaktualizacji. Pielęgnowana świadomość historyczna, duma ze swej przeszłości są bowiem fundamentem istnienia narodu. Rzetelna naukowa historiografia ma szansę uchronić społeczeństwo przed fałszywym przekazem i przed manipulacją historią. Chciałbym tu podkreślić, że prowadzona przez państwo polityka historyczna nie powinna być instrumentalnym wykorzystaniem historii, ale promocją tego, co było najbardziej wartościowe w naszej przeszłości i może dziś być powodem do dumy. Osobną sprawą jest natomiast wykreowanie szerszego zainteresowania historią i zdobyczami polskiej historiografii. Nie wydaje się to niemożliwe, ale konieczna jest tu współpraca instytucji państwowych.